



JOANNA BLANIK

**MOST NAD
GWIAZDAMI**

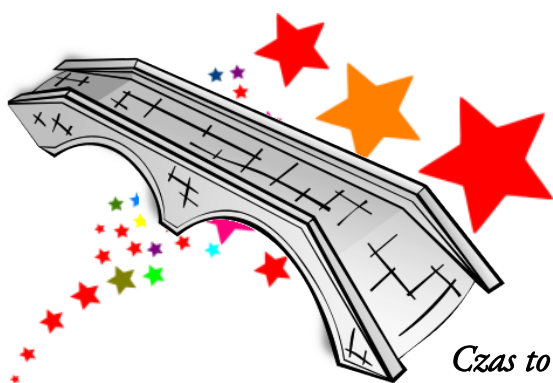
JOANNA

BLANIK

MOST

NAD

GWIAZDAMI



Czas to muzyka planet, jesteśmy jej słuchaczami.

*Ja Wega, ty Altair i skrzydła srok, **MOST NAD GWIAZDAMI***

Rozdział I. Małgorzata

Czy on jest prawdziwy? Zastanawiam się, spoglądając z daleka w jego jasnoniebieskie oczy, kiedy z pasją opowiada o galopujących w górę słupkach zysków firmy przez ostatni kwartał, wyświetlanego wykresu na wielkim telebimie, a także o tysiącu innych rzeczy, które interesują zebranych.

Podświadomie oczekiwałam cynicznego brutala, egoistycznego samca alfa ze szczytu łańcucha pokarmowego, a przyszedł skromny mężczyzna, taki naturalny, otwarty i idealistyczny, że nie wydawał się zwykłym śmiertelnikiem. Od razu łapiemy kontakt wzrokowy. Jego spojrzenie wyrażało przenikliwość i wielką inteligencję.

- Uszczypnij mnie - powiedziałam, chcąc zaczarować rzeczywistość.

- Zejdź na ziemię - usłyszałam szept Olki. - On nie jest dla takich, jak my.

- Kto to? - poczułam suchość w gardle.

- Nie wiesz, kim on jest? - zlustrowała mnie swoimi rozbieganymi oczami, które w okularach z denek po słoikach wyglądały wręcz monstrualnie. - Niebywałe - przyjrzała mi się bacznie, po czym dodała. - Rzeczywiście go nie znasz, jak to możliwe?

Miałam komfort niewiedzy. Znałam bardziej nieprawdopodobne zjawiska, ale skoro aż tak ją to trapiło, z bliżej niezrozumiałych dla mnie powodów czułam, że musi być kimś naprawdę wyjątkowym.

- Krzysztof Leszczyński - zmieniła ton na bardziej dostojny.

- Leszczyński? - zmrużyłam oczy. - Znajome nazwisko.

- Gdzieś ty się uchowała? - ściszyła głos, żeby nie wzbudzać zainteresowania. - Leszczyński to nie nazwisko, to styl życia. Brzmi, jakbyś się całowała - mrugnęła, na co uśmiechnęłam się z niedowierzaniem.

- Skąd wiesz? - pytam lekko zażenowana jej ironizującym tonem.

- Nieważne. Tajemnica reporterska.

- Przecież wcale nie jesteś reporterką.

- I dobrze bo zarabiałabym dwa razy mniej, niż teraz ty. Nie żartuję - na dowód tych słów uderzyła się w piers.

Wypadła jej przy tym guma do żucia z ust, na co skrzywiła się z niesmakiem.

- Co za strata - mruknęła pod nosem i szybko wróciła do swojego poprzedniego tonu. - To, że zostałam tutaj wysłana w zastępstwie, nie tłumaczy jeszcze twojego nieprzygotowania do tematu, ale od czego masz mnie?

- Kiedy miałam to zrobić? Dowiedziałam się w ostatniej chwili.

- Jak to? Przecież mówiłam ci wczoraj, że to jutro, czyli dzisiaj.

Zamiast zaprzeczyć, obojętnie wzruszyłam ramionami.

- Jeśli nie przyniesiemy rzetelnej relacji, to nie mamy po co pokazywać się w redakcji. Chyba tylko po to, żeby naczelny nam głowy pourywał i powiesił sobie jako kolejne trofea łowieckie w swojej leśniczówce. Skup się, to nasza jedyna szansa. Od kiedy Leszczyński owdowiał, w ogóle nie udziela wywiadów i to bez wyjątku, a nawet sobie nie wyobrażasz, jakie tytuły o to zabiegały. Nie mów mi tylko, że o tym też nie wiedziałas?

Mimowolnie otaksowałam go wzrokiem. Był cały świetlisty, zaczynając od włosów w kolorze szampana po lekko musniętą słońcem cerę. Wyposażony w cechy przywódcze, inspirujący, działał na rozmówców tak, że znowu chciało się wierzyć w ludzi, w świat, w to, że wszystko nareszcie ułoży się dobrze. Otaczała go aura dyskretnej, niewymuszonej elegancji, której nie dało się po prostu zignorować.

- Dlaczego dopiero w tym momencie zdecydowałam się na zwołanie konferencji prasowej? Znakomite pytanie - padło z jego ust. - Liczę, że dzięki państwu znajdę wraz ze swoim zespołem szerszy rozgłos dla projektu, nad którym właśnie prace dobiegają końca, pomyślnego końca.

- Czyli więc nie jest to już tylko i wyłącznie teoria?

- Już nie. Raz jeszcze w tym momencie mogę z całą odpowiedzialnością potwierdzić, że nasza grupa badaczy po raz pierwszy w historii zmodyfikowała nieprawidłowy gen w ludzkim zarodku - zrobił krótką pauzę, by podkreślić wagę tych słów. - Według opinii świata nauki to przełom w inżynierii genetycznej i nadzieja dla wielu chorych. Wszystko na to wskazuje, że w przyszłości na przykład choroby kardiologiczne będą leczone już na etapie zarodkowym.

- Przecież to czyn zabroniony, włamanie do genetycznego systemu operacyjnego żywej istoty.

- Jednakże przynosi to tak znakomite efekty, że jesteśmy w trakcie legalizowania patentu.

- Można to stosować u ludzi?

- Teraz już tak. Naszemu zespołowi badawczemu udało się usunąć z DNA mutację odpowiedzialną za wrodzoną wadę serca. Na jej miejsce wprowadzono prawidłowo działającą kopię genu. Zabieg wykonano za pomocą rewolucyjnej technologii zwanej molekularnymi nożyczkami. - te ostatnie słowa wymówił bardzo starannie, jakby je dopiero wypróbował. - Pozwala ona na cięcie DNA i wyjmowanie wadliwych genów.

- Niewiarygodne, ale czy to aby nie zabawa w boga? - padło gdzieś z tyłu.

- Od nadmiaru pieniędzy kompas moralny wariuje - dodał ktoś z pobłażaniem.

- Być może - potwierdził Leszczyński. - Mimo sukcesu nie udało odciąć się od kwestii etycznych. Manipulowanie genomem embrionu to wielka sprawa. Nie wiemy co by się stało, gdyby z zarodka powstało dziecko, a później by dorosło. To sporo niewiadomych, których poznanie zajmie nam jeszcze jakiś czas.

- Czy naprawdę jesteście na to gotowi?

- To przełom. Każde pokolenie, które nosiłoby w sobie poprawkę genetyczną, byłoby całkowicie wolne od choroby. Technologia wymaga jednak jeszcze sporo testów bo leczyć trzeba z głową - zmienił ton. - Wakat rzecznika prasowego jest u nas wolny - wskazał na puste miejsce obok siebie. - Dlatego pozwoliłem sobie osobiście z państwem spotkać. Dziękuję za tak liczne przybycie. Szczegóły oraz informacje uzupełniające znajdują się w folderach. Teraz już jestem zmuszony państwa opuścić - rozłożył ręce w przeproszającym geście. - Obowiązki.

- Pst - usłyszałam dwa rzędy przed sobą. To był Maciek, kolega z konkurencyjnego czasopisma, ale mój sprzymierzeniec. Chyba w dalszym ciągu liczył, że ma u mnie jakiegokolwiek szanse. - Znowu się spóźniłaś. Jeśli chcesz to nagranie prześlę ci na maila. Tego redakcyjnego, czy wolisz na prywatną skrzynkę?

Wzruszyłam ramionami i zmarszczyłam brwi. Miałam alergię na szczeniacki testosteron. Gdyby żenada chciała się reklamować, powinna go zatrudnić. W pierwszej chwili miałam zamiar pokazać mu środkowy palec, więc dla wyrazistości przekazałam podwinęłam rękaw, ale pomyślałam o moim niezadowolonym szefie i że znowu zawiodę go jako reporterka, kiedy jutro na kolegium redakcyjnym zamiast świecić przykładem, będę świeciła jedynie swoimi szarozielonymi oczami, ku uciesze stażystki, która tylko czeka na moje kolejne potknięcie, żeby usadowić się na moim obrotowym stołku. Dlatego posłałam mu standardowy uśmiech i wyprostowałam kciuka.

W górze pojawił się las rąk, zupełnie jak w szkolnej klasie. Jeden przez drugiego starali się zwrócić uwagę Leszczyńskiego. Musiał poczuć mój wzrok, bo wyprostował się i spojrzał na mnie. Przypominali ulubieńców mojej matematyki, którzy koniecznie chcieli zostać wywołanymi do odpowiedzi. Nigdy się do nich nie zaliczałam, od zawsze miałam umysł humanisty.

- No dobrze, ale niech to już będzie ostatnie pytanie. Może - zawahał się. - Pani - wskazał, a ja rozejrzałam się, jakby to rzeczywiście miało chodzić o mnie. - Tak, pani. O ile dobrze widzę z Gazety Wybiórczej.

Jasny gwint, to przecież ja, ale dlaczego? Przecież wcale się nie zgłaszałam, w dodatku chyba jako jedyna, więc może właśnie stąd jego taktyka.

- Kiedy ja - usłyszałam ze zdziwieniem własny głos, który wiązał mi w gardle i trwałam w niewygodnej dla siebie ciszy.

- O co chciałaby pani zapytać? - zabrzmiało łagodnie, jakby poza nami nikogo więcej na sali nie było.

Poczułam na sobie wyczekujący wzrok wszystkich zebranych i ukłucie ich zazdrości. Mieli przed sobą notatniki, dyktafony, a gdzieś tam wyrastały statuy od monstrualnych rozmiarów kamer. Wszyscy byli tak świetnie przygotowani, sami profesjonalści, żeby jutro na pierwszych

stronach swoich gazet i portali internetowych mogli umieścić skrót z najnowszych dokonań prezesa Leszczyńskiego.

- Zapytać? - pomyślałam, że dorobię echo, żeby zagrać na zwłokę i zebrać myśli. Nienawidzę takich sytuacji, bo bez względu na odpowiedź i tak przegram. Mój oddech zabrzmiał nierówno, ale miałam nadzieję że tylko ja to słyszałam.

- Tak, zapytać. Ludzie używają takiego sposobu komunikacji - w tonie jego głosu nie było żadnej zachęty.

Zaschło mi w ustach i z trudem przełknęłam ślinę. Chciałam zyskać trochę na czasie, dlatego pokazałam nieudolnym gestem, że wolałabym zostać lepiej usłyszana i brakuje mi mikrofonu. Musiałabym jednak najpierw pokonać osobliwy tor przeszkód, na który składała się plątanina kabli z urządzeń rejestrujących. W sumie można było przejść, ale wymagało to pewnych zdolności ekwilibrystycznych, dlatego zrezygnowałam.

Przygryzłam wargę i wygładziłam swój beżowy żakiet, który mógł być niewątpliwym hitem mody kilka sezonów temu, lecz w tej chwili na tle beżowej ściany wyglądałam, jakbym założyła garnizonowy mundur maskujący. Na szczęście opinał mnie w odpowiednich miejscach, podkreślając figurę, którą udało mi się odzyskać w niedługim czasie po urodzeniu dziewczynek, co było okupione zabójczą dietą i morderczymi ćwiczeniami w osiedlowym klubie fitness.

- Kiedy wpadł pan na pomysł, że enzymy restrykcyjne przywrócą panu sumienie? - nawet ja zauważyłam, że to fatalnie brzmi, ale było już za późno, żeby wycofać wiszące w powietrzu napięcie.

Nastąpiła długa pauza, tak długa, że myślałam, że mnie nie usłyszał. Ktoś nieśmiało zrobił mi zdjęcie, a kiedy nie zareagowałam, błysnęło jeszcze kilka fleszy. Wiele kosztowało mnie zachowanie zimnej krwi.

Wyraźnie widziałam, że teraz to on przygryzł wargę. Sprawiał wrażenie, jakby to pytanie go ubodło. Wiedziałam, że mam kłopoty, a koleś, który siedział po jego prawej stronie, zapowiadał dalsze. Wyglądał na pracownika zakładu pogrzebowego. Owszem, obaj mieli świetnie skrojone garnitury warte fortunę, ale w odróżnieniu od Leszczyńskiego miał coś jeszcze. To było w wyrazie jego oczu, a właściwie brak. Brak jakichkolwiek emocji. Jedną ręką zakrył mikrofon, a drugą przyłożył do ucha prezesa, coś mu doradzając. Gdzie jego maniery? Nie szepta się w towarzystwie.

- Pyta pani o to, kiedy? - wycedził z poprawnym uśmiechem przelepionym do twarzy. - To akurat doskonale pamiętam, był to rok...

- Nie, nie - przerwałam mu, a oczy moich kolegów po fachu znowu mnie przewierciły. - Mam na myśli, czy wymyślił pan to przed, czy raczej już po śmierci swojego dziecka?

Udał, że nie odnotował reakcji.

- Gośka, co ty najlepszego wyprawiasz? - Olce dopiero teraz przywróciło głos. - Rzadko to mówię komuś oprócz siebie samej: opanuj się - z wrażenia zdjęła okulary i zaczęła je przecierać rękawem, moim rękawem.

Po sali rozległ się szum poruszenia. Przybrał na sile, a do mnie dotarło, jak musi się czuć tarcza strzelnicza, kiedy skupia na sobie dziesiątki skierowanych luf. Podczas gdy tłum przyglądał się mi z zaciekawieniem, rozprawiając półgłosem o skandalu i spoglądając na mnie ze współczuciem, Leszczyński zachował fason. Zmrużył oczy i wykrzywił usta w grymasie niedbałego uśmiechu. Owszem, był charyzmatyczny i błyskotliwy, miałam jednak nadzieję, że jedną z jego kolejnych zalet nie było czytanie w myślach innych ludzi.

- Widzę, że nareszcie ktoś podjął się pisania mojej biografii, ale zanim się ukáže, wolałbym przedtem ją autoryzować - chłodny spokój, z jakim wypowiadał te słowa, obudził we mnie panikę. - Chętnie udzielię pani wyczerpujących odpowiedzi - wstał, a koleś po prawej odsunął mu krzesło. - Przejdźmy do mojego gabinetu, a państwa - rozejrzał się po sali i w zapraszającym geście wskazał na boczne drzwi. - Pragnę uraczyć małym poczęstunkiem.

- Ale numer - Olka w dalszym ciągu pocierała swoje okulary jednak jedynie swoimi palcami, ponieważ zdążyłam już zrobić kilka kroków w bok, a wraz ze mną mój rękaw.

Z sąsiedniego pomieszczenia dochodziła woń wykwintnych przystawek i świeżo zaparzonej, drogiej kawy. Doskonale pamiętam, jak taka pachnie, jeszcze z dzieciństwa. Nigdy się nam nie przelewało, chociaż rodzice bardzo się starali i dozgonnie będę im za to wdzięczna. Zazwyczaj w święta po całym naszym mieszkaniu rozchodził się wyborny aromat kawy z desy. W moim mniemaniu była dziełem sztuki. Tak, jak teraz.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - znienacka zmaterializował się Maciek. - W innym razie nie chciałbym być w twojej skórze, chociaż - pochylił się nad moim karkiem i wciągnął powietrze. -

Pachnie cudownie. Cześć Olka - rzucił w jej stronę obdarzywszy mnie krzepiącym uśmiechem. -
Idziemy coś przekąsić?

Też bym z nimi chętnie poszła. Nie jadłam niczego od rana, ale dzisiaj na danie główne zaserwuję sobie prezesa Leszczyńskiego. Obym nie dostała niestrawności. Kiedy tak stałam trącana przez głodnych zwyrodnialców, w oczach swoich czytelników kulturalnych i niezwykle dystygowanych, oprócz wciąż dobiegającej zza ściany woni kawy poczułam coś jeszcze, kardamon z lekką nutą drzewa sandałowego. Jego wodę po goleniu. Im ten zapach przybierał na sile, tym jego pozbawiona jeszcze twarzy sylwetka, zaczęła przede mną wyrastać, stawała się coraz większa, dochodząc do swoich naturalnych rozmiarów, tuż obok mnie.

- Pani pozwoli - starał się ująć swoim szarmanckim zachowaniem. Wokół nas opustoszało, zostaliśmy sami, nie licząc kolesia z zakładu pogrzebowego. Nie mam pojęcia, kim był. Jego gorylem, doradcą, odźwiernym? - Adam Marszałek - wskazał na niego. - Moja prawa ręka.

Dziwne, pomyślałam, prawa ręka? Moja wciąż znajduje się na swoim miejscu. Swoją drogą z trudem zachowywałam powagę, przypominając sobie, co faceci są w stanie robić prawą ręką. Tak naprawdę byłam strasznie zestresowana, a ucieczka w odnajdowanie u innych zabawnych cech, od kiedy pamiętam, była moją reakcją obronną, chociaż podobno najlepszą obroną jest atak.

Podeszliśmy do drzwi wyjściowych, przekraczając próg obszaru wyłącznie dla ludzi z firmy. Wyraźnie o tym informowały wszechobecne, ale dyskretne ostrzeżenia. Korytarze naszpikowane kamerami monitoringu, przed każdymi przeszkłonymi drzwiami czytnik. Adam, jak na prawą rękę przystało, tam gdzie to było konieczne, czyli niemal wszędzie, dokonywał autoryzacji, po czym odzywał się cichy dźwięk wyzwania blokady drzwi. Popychał je i przytrzymywał, puszczając nas przodem, po czym znowu przyspieszał kroku i powtarzał ten rytuał, aż doszliśmy do windy. Lokaj, pomyślałam, to na pewno jego lokaj. Ale nie, że zwykły służący, tylko taki z tych z manierami, którzy towarzyszą rodzinie od pokoleń. Przez cały ten czas czułam na swoich plecach, a nawet niżej, wzrok Leszczyńskiego, chociaż może tylko tak mi się wydawało.

Znaleźliśmy się w obszernej windzie. Sama w sobie może nie była znowu aż tak wielka, ale przestrzeni nadawały jej lustra. Dostrzegłam setki Leszczyńskich w towarzystwie setek Marszałków, ale siebie widziałam jedną. Wystraszoną, ze spuszczoną głową, jakbym była w drodze na egzekucję, co zdawała się potwierdzać blada twarz i zmierzwione włosy, sterczące we wszystkich możliwych

kierunkach. Postać w odbiciu do złudzenia przypominała mnie w wersji nieco bardziej zmęczonej życiem. Pomyślałam ze zgrozą, że wkrótce też tak będę wyglądała. Kurs kolizyjny z rzeczywistością. Brakowało jedynie ponurej muzyki na drugim planie, za to z głośników symbolicznie dobiegały jakieś powiadomienia, we wszystkich możliwych językach świata.

Było tam coś jeszcze. Przerażenie, które widziałam za każdym razem, kiedy niechcący znów spojrzalam w swoje odbicie. Objęłam się rękami jakby tak było bezpieczniej. Wzdrygnęłam się. Z każdego lustra przedrzeźniała mnie moja własna wystraszona twarz. Mroczna mgła w mojej głowie jeszcze bardziej zgęstniała. Upomniałam się w duchu, że pora wziąć się w garść.

Nosił dobre perfumy, ale też dobrze do niego pasowały. Pachniał bardzo intensywnie, coś cudownego, zwłaszcza w porównaniu z chemiczną wonią korytarzy. Jedwabiste włosy, twarz o delikatnych rysach, turkusowe oczy. Nic wymyślnego, teraz jednak wyglądał jakoś łagodniej, ciepło, niemal jak gdyby znał mnie lepiej, niż ja sama. Chodziło jednak nie tylko o to. Miał w oczach, w wyrazie twarzy coś, co świadczyło o ciężkiej próbie, jaką kiedyś przeszedł, coś, co rozpoznawałam, patrząc również na swoje odbicie w lustrze. Oczy, mające moc zmieniania świata.

Koleś z zakładu pogrzebowego sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej krówkę. Niedbale rozwinął papierek, a cukierka jednym, zwinnym ruchem ze znacznej odległości umieścił w swoich ustach. Sądzę, że musiał robić w ten sposób już od dość dawna, bo był to okupiony długimi treningami manewr.

- Spada mi cukier - powiedział na usprawiedliwienie swojego zachowania, lub może raczej na to, że nie zaproponował mi ani jednego cukierka. Kto przecież częstuje innych swoim lekarstwem?

Uśmiechnął się chłodno i słodko jednocześnie. Papierek zwinął niedbale w szeleszczącą kulkę i rzucił na podłogę. Leszczyński udał, że tego nie widzi, albo był tak bardzo wpatrzony w telefon. Najwidoczniej prowadził z kimś bardzo ożywioną korespondencję chyba, że sprawdzał, jak długo ekran wytrzyma stukanie jego wypielegnowanymi palcami.

Trwało to jakiś czas kiedy drzwi nagle zasunęły się za jego plecami i kabina ruszyła z delikatnym szarpnięciem. Na pulpicie widniały jedynie bardzo wysokie liczby, oznaczające podróż w kierunku nieba z niezbyt wieloma przystankami po drodze. Pulsowała znacząco najwyższa, niewątpliwie oznaczająca ostatnie piętro. Zanim dojechalśmy na górę byłam chora ze zdenerwowania. Uległam złudzeniu, że winda w ogóle nie ruszyła z miejsca, kiedy drzwi rozsunęły

się z drugiej strony tworząc jakby przejście. Zauważyłam następny duży hol, dłuższy i ciemniejszy. Zatrzymaliśmy się przed kolejnymi przeszklonymi drzwiami. Na pierwszy rzut oka było równie zimno i ponuro, jak do tej pory. Napotykanе wyposażenie było typowo biurowe. Nikogo nie mijaliśmy, więc zaczęłam się nerwowo rozglądać. Z wnętrza korytarza dobiegały echa ściszonych głosów oraz otwieranych drzwi. Instynktownie zaczęłam nasłuchiwać, ale zdałam sobie sprawę, że nieładnie tak, zresztą strzępy rozmowy nic mi nie mówiły. Czasami nie dobiegały stamtąd żadne dźwięki, inne wydawały się zniekształcone, głosy pomieszane.

Wreszcie przestaliśmy iść na dobre. Tym razem drzwi wyglądały jak wrota do zabytkowej katedry, były rzeźbione z całym mnóstwem złocień. Koleś z zakładu pogrzebowego nawet nie próbował się do nich zbliżyć, najwidoczniej skończyły mu się już uprawnienia i bardzo dobrze. Był zbyt pewny siebie i zupełnie, ale to zupełnie nie wzbudzał mojego zaufania. Dopiero teraz Leszczyński schował swój telefon, może wcale z nikim nie pisał, tylko korzystał z nawigacji, jak dotrzeć do tego miejsca? Na jego miejscu ja bym dokładnie tak zrobiła.

Uchylił drzwi i załóżkiem uśmiechu bez emocji zaprosił mnie do przekroczenia progu. Pomyślałam sobie, że to ich wyćwiczona poza, ten brak uzewnętrzniania uczuć. Za to wnętrze rozświetliło się samoistnie, po czym przygasło, eksponując w całej okazałości, zapierającą dech w piersiach panoramę. Odślaniała się stopniowo w miarę, jak rozsuwały się pionowe żaluzje, coś na kształt kurtyny w staroświeckim kinie. Chociaż nie do końca, bo one po prostu znikwały. Tak, znikwały w jakiś niewytłumaczalny dla mnie sposób. Może pokojem naszpikowanym nowoczesnymi zabawkami starał się zrekompensować sobie trudne dzieciństwo? Z aż tak wysoka nie miałam jeszcze możliwości podziwiania czegokolwiek, o naszym mieście nie wspominając. Zauważył to, ale swój komentarz mógł sobie już darować.

- Stąd wszystko wydaje się takie małe, nieistotne, o przeszłości już nawet nie wspominając - miał trochę nieobecny głos, ale i coś jeszcze. Miał w sobie jakiś staroświecki urok, który mnie pociągał. Otworzył przede mną drzwi, pomógł mi ściągnąć płaszcz.

Znajdowaliśmy się w jednym z najpiękniejszych pomieszczeń, jakie kiedykolwiek widziałam. Lecz tym, co od razu przykuło moją uwagę, nie były ciemna podłoga i nagie ściany, lecz kominek i zawieszonych nad nim kilka oprawionych w ramkę zdjęć. Leszczyński w mundurze najpierw harcerskim, potem wojskowym, mały Krzysio i Krzysiek nastolatek uśmiechający się sztywno do aparatu, w tej samej pozie na każdej fotografii. Tuż obok w dniu ślubu przed katedrą na Wawelu.

Wyglądał młodo i sprawiał wrażenie smutnego. Za to panna młoda sprawiała wrażenie weselszej, bo uśmiechała się mimo okropnej sukni.

Zawieszono jakby w powietrzu przy oknie lewitowały przeszklone ramki, tym razem zawierające dyplomy, pochwały i świadectwa. Pomnik osiągnięć przyszłego prezesa. Nie zauważyłam za to ani jednego zdjęcia dzieci.

Leszczyński upewnił się, że zostaliśmy sami, podszedł do przeszklonej ściany, a może kolejnego okna, chociaż raczej sądzę, że pełniło rolę jednego i drugiego, i napajał się zachodzącym słońcem, a ja widokiem jego pleców. Ma naprawdę piękny gabinet, myślę z podziwem, ale nie zachwycał się nim głośno. Rozejrzałam się, starając się zapamiętać jak najwięcej, ponieważ po tym, co usłyszy, byłam pewna, że nigdy więcej nie będzie mi dane tam przebywać.

Czekałam, aż się odezwie, powie coś, co pozwoli mi zrozumieć, dlaczego czuję się tak, jakbym to ja była wszystkiemu winna. Gdy jednak cisza przeciągała się w nieskończoność, zebrałam się na odwagę i spojrzałam na jego odbicie w szybie. Byłam zszokowana, ujrawszy twarz pozbawioną wszelkich emocji. Spodziewałam się zobaczyć złość, napięcie lub irytację.

„Nie rób tego, czego się po tobie spodziewa, bo wtedy od razu przejdzie do defensywy, a tak zyskasz przynajmniej trochę czasu.” - pomyślałam. Potrzebowałam go sporo, żeby wreszcie wziąć się w garść. Dlatego zamiast gniewać się i wściekać postanowiłam być miłą. Zrobiło się jakoś niezręcznie. Nie zastanowiłam się nad doborem słów, nie wiedziałam, od czego zacząć, no i jak. Ku mojemu zdziwieniu, wyręczył mnie. Chyba myliłam się co do braku jego zdolności telepatycznych.

- Ile lat to już minęło? Zdążyło chyba upłynąć całkiem sporo czasu? - zapytał takim tonem, że zimny dreszcz przebiegł mi po plecach.

- Właśnie uczyłyby się w pierwszej klasie - odpowiedziałam na tyle długo, że dźwięk moich słów zdążył oderwać się od ich znaczenia.

- Założę się, że miała moje oczy? - wreszcie się raczył odwrócić ignorując moją reakcję i przepaść, która nas teraz dzieliła. - Czy jednak po tobie?

Rozdział 2. Aleksandra

- Czy jednak po tobie?

- Nie bardzo rozumiem - zmarszczyłam brwi, nieco zaskoczona takim doborem słów. Zostałam wyrwana z odrętwienia i nie bardzo rozumiałam, co się dzieje.

- Pytałam, czy do toalety mogę wejść teraz, czy jednak po tobie? Wypiłam trochę za dużo piwa i sama rozumiesz, a w dodatku chyba trochę się przeziębiam.

- Oczywiście, że tak - zapewniłam ze spokojem, którego wcale nie czułam.

Zrobiłam przy tym charakterystyczny dla puszczenia przodem gest ręką, a tym samym unik, żeby nie zostać stratowaną przez dwie, na pewno wyglądające więcej niż na swój wiek, nastolatki. Przez uchylone drzwi dojrzałam umywalkę i muszlę klozetową, a za całą dekorację służyły kawałek mydła i ręcznik.

„Gdzie ona się tyle podziewa?” zapytałam w duchu. Niepokój, jaki towarzyszył mi od momentu, kiedy straciłam Gośkę z oczu, teraz przybrał na sile. Zniknęła z Leszczyńskim i jego gorylem, i od tamtej pory nie raczyła się nawet odezwać. Odetchnęłam z ulgą, słysząc sygnał. Zatem nie rozmawiała z nikim, ale nie odebrała, więc zgrzytnęłam tylko zębami w bezsilnej złości i zostawiłam wiadomość na poczcie głosowej: „Gośka, gdzie ty się podziewasz, do licha?! Zadzwoń do mnie, jak tylko będziesz mogła, dobrze?”. Czasem miałam wrażenie, że jednym z jej ulubionych zajęć jest ignorowanie połączeń przychodzących i czerpanie satysfakcji z tego, że nie oddzwania. Nie tak się umawialiśmy. Każde nasze wspólne wyjście obligowało do informowania co się dzieje w przypadku, kiedy któraś z nas miała wracać osobno. Tym razem było jednak inaczej. Tam, na sali konferencyjnej coś między nimi przemknęło. Spojrzenie, które nie zdołałam rozszyfrować.

No dobra, trochę przesadzam. W końcu obie jesteśmy dorosłe, ale gdzie się podziała ogłędnie pojęta koleżeńska lojalność? Tego było za wiele, musiałam jakoś odreagować. Trochę zziębnięta i oszołomiona, rozejrzałam się dokoła i zobaczyłam tuż nad swoją głową neon reklamowy z nazwą jednej z lokalnych marek piwnych, ostatnia litera migała szaleńczo w nierównym tempie. Uznałam więc, że jestem w jakimś barze, choć nie wiedziałam, gdzie dokładnie. Potem podniosłam

wzrok na jasnozielone ściany, znajome i nieznanym jednocześnie, aż w końcu przypominałam sobie, gdzie jestem.

Trochę błąkałam się po okolicy biurowca firmy Leszczyńskiego i żeby sprawdzić po raz kolejny, czy aby na pewno jej poczta głosowa przywita mnie tak samo beznamiętnie, weszłam do najbliższej bramy i przystanęłam przed schodami, prowadzącymi na zaplecze jakiegoś klubu. Kilkanaście betonowych stopni kusilo, żeby po nich zejść. Zrobiłam jeden krok i przysiadłam. Padający śnieg topniał na ekranie telefonu, a ja zastanawiałam się, czy aby nie uczcić nadchodzących świąt ułożeniem sobie ikon na pulpicie w kształcie choinki. Dudniący bas, dobiegający zza tylnych drzwi klubu przybrał na sile ponieważ jakaś para wychyliła się na zewnątrz, zostawiając je niedomknięte. Całowali się tak namiętnie, że poczułam się jeszcze bardziej samotna. Dopiero kiedy na ostatnim stopniu pośliznęłam się i nieomal upadłam, zwróciłam ich uwagę. To były dwie dziewczyny, o zgrozo. Dokładnie te same, które teraz razem weszły do toalety. Coś długo ich nie ma.

Odwróciłam się na pięcie i podążyłam w stronę muzyki. Na skraju pola widzenia tańczyły cienie. Moje trzewia podskakiwały wraz z każdym rytmem basu dlatego byłam pewna, że zmierzam w dobrym kierunku, by po chwili znaleźć się na dużej sali, wypełnionej po brzegi roztańczoną młodzieżą. Niezwykła energia tego miasta, natłok dźwięków i barw obudziły we mnie ekscytację, dzięki której zapomniałam na chwilę o swoich obawach. Przy barze zauważyłam dwa wolne miejsca. Na jednym, co prawda, wisiała skórzana kurtka męska, za to drugie wyglądało na opuszczone, dlatego czym prędzej postanowiłam któreś zająć. Szybko rozważyłam wszystkie opcje, a zrozumiawszy, że właściwie nie mam wyboru, usiadłam i westchnęłam ciężko. Położyłam dłonie na blacie i spłotłam palce.

- Co podać? - barman pojawił się szybciej, niż zdążyłam pomyśleć, na co mam ochotę.

- Zdaję się na ciebie - pochyliłam się i przetarłam serwetką utyłane błotem buty.

- Ale masz skończone osiemnaście lat?

Zamiast odpowiedzieć, przybrałam poprawny uśmiech. Dawno nikt nie obdarzył mnie takim komplementem. Chociaż, kiedy przyjrzałam się sobie krytycznie w szklanym odbiciu lustrzanej przestrzeni pomiędzy półkami z alkoholem, uznałam, że niewiele się zmieniłam od matury. Zadarłam nos i wydełam policzki. Cienie pod oczami stały się jeszcze bardziej wyraźniejsze.

Teraz wyglądałam jak moja mama, więc zaśmiałam się w duchu. Popołudniowe smutki powoli odchodziły w niepamięć.

- To moja kurtka - powiedział ktoś, a z jego głosu ulotniła się zaskakująca miękkość.

- Co takiego? - zapytałam, wypuszczając ze świstem powietrze.

- Takie okrycie wierzchnie, jest za twoimi plecami.

- Przepraszam - dopiero teraz zorientowałam się. - Najwidoczniej zajęłam twoje miejsce.

Czułam, że zerka na mnie ukradkiem. Uśmiechnęłam się, lecz nic nie powiedziałam.

- Nic nie szkodzi. To już jest wolne - wskazał obok. - Albo wiesz co? Ja na nim usiądę. Stąd będę lepiej widział, jak przedrzeźniasz swoje odbicie, ale robisz to zupełnie niepotrzebnie.

- Nie rozumiem.

- Bo i tak jesteś prześliczna.

- To tylko makijaż - wymieniłam spojrzenie z moim ja w lustrze i przełknęłam stężoną ślinę.

- Racja - przyjrzał mi się.

- Mógłbyś to powtórzyć? Masz cudowny głos - po czym zgasiłam jego zażenowanie. - Żartowałam.

- Ja też. Czego się napijesz?

- Właściwie to nie rozmawiam z nieznajomymi, a tym bardziej nie mam w zwyczaju pić w takim towarzystwie - oznajmiłam tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Brzmi rozsądnie - rękoma wykonał ruch, jakby miał złapać moich piersi, ale źle to zinterpretowałam. Czułam, że się zastanawia. - Tylko, że ja wcale nie jestem nieznajomym.

- Żeby ci wierzyć, musiałam usłyszeć coś, co mnie przekona.

- Oła, prawda?

Barman potwierdził niemal niewidocznym skinieniem i dopiero teraz zauważyłam w lustrze, że przez cały ten czas miałam identyfikator z konferencji u Leszczyńskiego.

- Gratuluję wyjątkowej przenikliwości - przewróciłam oczami.

- Ola? - powtórzył i uznałam, że pytanie było wystarczająco głupie, by je przemilczeć. - Ola Cichocka. Liceum Nałkowskiego w Wołominie, najlepsze.

Zamarłam w duchu, zatrzymując na nim wzrok nieco dłużej, niż to konieczne. Zaintrygował mnie tym wywodem, ponieważ na identyfikatorze w żadnym razie takiej informacji być nie mogło. Strzeżenie swojej prywatności wydawało mi się czymś tak naturalnym, że pomyślałam o tym mimowolnie.

- Owszem - przyznałam zgodnie z prawdą, ostrożnie cedząc słowa. - Ale to żadna tajemnica, ponieważ każdy wie, że w Wołominie Nałkowski jest najlepszym liceum - odparłam z przekonaniem, choć wcale nie byłam tego pewna.

- Pierwsze słyszę - wtrącił barman i skarciłam go za to wzrokiem, na co westchnął z irytacją.

- W drugiej klasie - nieznajomy ciągnął dalej. - Zaraz na początku roku szkolnego pojawił się taki wystraszone chudzielec. Był nowy, przeprowadził się wraz z rodzicami do wielkiego domu na Sasina.

- Tak, pamiętam ten dom. Przez jakiś czas stał niezamieszkały i często po lekcjach chodziliśmy tam nasłuchując, czy są w nim duchy - zaśmiałam się bo właśnie do mnie dotarło, jak głupio to zabrzmiało.

- Więc ten chłopak... - zacisnął usta i spojrzał w bok więc nie widziałam jego twarzy.

- Też doskonale pamiętam - weszłam mu w słowo. - Romek. Właściwie to głupi Romek, tak nazwaaliśmy go z dziewczynami - skrzywił się, najwyraźniej miał odmienne zdanie, a ja ciągnęłam dalej. - Był jakiś taki dziwny, cichy, skryty, więc postanowiliśmy to zwalić na kark jego opóźnienia w rozwoju.

- Był upośledzony? - zapytał z autentycznym zaciekawieniem i spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Tego nie wiem, ale jeśli założyć, że sposób jego wypowiedzania się był odzwierciedleniem pracy jego umysłu, to...

- Więc ten chłopak to ja - wstał i się wyprostował. - Romuald Kacprzak - zasalutował.

Zaskoczenie i niedowierzenie.

- Jak często można spotkać takich ludzi? - zapytałam z uznaniem.

- Zdziwiłabyś się - odburknął barman, na co spojrzałam ze współczuciem.

- Mogę to wyjaśnić - mówię szybko.

Zamurowało mnie. Poczułam, jak zalewam się gorącą falą wstydu, więc żeby to jakoś zatuszować, postanowiłam zepchnąć rozmowę na inny tor.

- Masz maniery jak żołnierz - chwyciłam się z nadzieją tego zdania.

- Pracuję w Policji.

- Naprawdę? - zamiast odpowiedzieć skinął twierdząco. - Dlaczego zostałeś gliną? Dla forsy?

- Lubię strzelać do ludzi - parsknął śmiechem. - Wybacz, ale zawsze chciałem to powiedzieć.

- A tak poważnie?

- Lubię stać na straży porządku - jego twarz nabrała rysów szlachetności i sprawiedliwości.

- I strzelać do ludzi?

- Właśnie. Sama powinnaś kiedyś spróbować.

- Czy to jest już moment, w którym mogę się roześmiać? A ty co tak gały wybałuszasz? - rzuciłam w stronę barmana. - Klasowego spotkania po latach nie widziałeś, czy co?

- Też na takim byłem - odparł znudzonym głosem.

- Naprawdę? Nie widziałam cię.

- Sam bym siebie nie zapamiętał. Mogę przyjąć zamówienie? Wreszcie.

- Czego się napijesz?

- A ty na co masz ochotę? - wypaliliśmy prawie jednocześnie.

Nasz świat się na chwilę zawiesił, a barman, widząc to, machnął tylko i podszedł do tłoczących się po przeciwległej stronie baru. Muzyka ucichła i najwidoczniej spragnieni tancerze przybyli do wodopoju.

- Słuchaj - zaczęłam w końcu bo byłam pewna, że ten temat mnie nie ominie. - Jeśli chodzi o tamto... - bąkam bo nie wiem co innego mogłabym powiedzieć.

- Nie ma sprawy. Wiem, że tak mnie nazywano.

- Wiesz? - poprawiłam kosmyk włosów, który opadł mi na okulary.

- To , że nie widziałem treści kartek, przyklejanych mi do pleców, nie znaczy jeszcze, że nie wiem, jaką zawierały treść. Moja mama mi je czytała.

- Ale... - chciałam coś z siebie wydusić, niestety skończyło się na otwartych ustach.

- Powiedz lepiej, co u ciebie? - nie ciągnął tematu i byłam mu wdzięczna za to, więc odetchnęłam głośno z ulgą. - Nie zmieniłaś się znowu aż tak bardzo, poznałem cię od razu.

Uśmiechnęłam się, by pokazać mu, że doceniam jego taktowne zachowanie. Odruchowo złapałam się za oprawkę okularów.

- No właśnie, przecież nosiłeś podobne.

- Zobacz sama, co robi postępek - zamrugnął figlarnie. - Soczewki kontaktowe. Sama powinnaś kiedyś spróbować - zmieszał się. - Nie, żebyś miał coś przeciwko okularnikom - odchrząknął. - To znaczy okularom.

- No ja myślę.

- Za to ty miałaś taki - wykonał ręką ruch i wyduł usta, jakby miał zamiar umieścić w nich banana, wszsz. - Aparat na zębach.

- Już od dawna go nie noszę - błysnęłam szerokim uśmiechem. - Też powinieneś kiedyś spróbować.

Czułam na sobie jego wzrok, na twarzy i rękach. Czułam także, że rumieniec rozlewa się na moją szyję i pierś, że zdradza mnie własne ciało. Postanowiłam zwrócić mu uwagę, ale starałam się mówić lekkim tonem.

- Chwilami zachowujesz się jak dupek.

- Podnosisz mnie na duchu?

- Może.

- To działa. Jesteś mężatką?

Nie do wiary, zapytał mnie o to.

- Nie - widziałam, że spodobała mu się ta odpowiedź.

- Lesbijką?

- Dlaczego?

Podrapałam się za uchem i ani przez chwilę się nie spieszyłam.

- To by tłumaczyło brak męża - jego logika zabrzmiała w jego ustach, jak nie moja. - No i zawsze to mniej banalne, niż mówić, że nie spotkałam jeszcze właściwego faceta.

- Słusznie - podchwyciłam - Po co być banalnym? Prawdę mówiąc - zawiesiłam głos. - Spotkałam właściwego faceta, ale on mnie nie chce. Dopóki się nie odkocham, żaden nie ma u mnie szans.

- A to pech.

- Prawda? - zamrugałam figlarnie. - Byłam kiedyś lesbijką, w szkole, ale tylko przez kwadrans, więc się nie liczy.

Po co mu to opowiadam? Pochylił się nade mną jakoś dziwnie, z zamiarem sama nie wiem czego i wtedy błysnęła jego odznaka.

- Zazdroszczę ci, że możesz dokonywać coś moralnie właściwego - zabrzmiała jak mała dziewczynka, która nie nauczyła się jeszcze kłamać.

- I strzelać do ludzi?

- Mówię poważnie.

- O ile dobrze pamiętam, to przyjaźniłaś się z taką atrakcyjną brunetką - pokręcił głową, ale nie chciał spojrzeć na mnie, uciekł wzrokiem w bok. - Zawsze miała takie nie za długie włosy upięte czerwoną wstążką. Wyglądała jak przepiękny prezent pod choinkę.

- Widzę że odrobiłaś lekcje. Powinieneś szkicować portrety pamięciowe.

- Tym akurat zajmuje się nasz technik kryminalistyki.

- Gośka - weszłam mu w słowo. - I nadal się przyjaźnimy. Właściwie - zawiesiłam głos. - To nawet mnie nie dziwi, że o niej wspominasz. Była przecież jedną z najładniejszych dziewczyn w szkole. Dobra kumpelka i przedmiot pożądania. Przy niej byłam tak zwyczajna, że aż niewidzialna.

- Poukładała sobie życie?

- Mniej więcej. Pocałował ją taki jeden i zaszła w ciążę.

- Konkretny całus.

- Ma córkę - powiedziałam. - Ale czy wierzysz, że ona nie wie, kto jest jej ojcem?

Pokręcił przecząco głową.

- Jestem pewna, że nie. Przynajmniej Gośka zawsze tak mówiła. Uważałam, że to dziwne. Nie tylko dziwne, ale i nieodpowiedzialne, tak jak wiele jej rodzicielskich decyzji. Bo co, jeśli ojciec jest obarczony jakąś wadą genetyczną albo chorobą? Zataić jego tożsamość? To niesprawiedliwe wobec dziecka. Przyparta do muru w końcu powiedziała, że była to przelotna przygoda, ktoś, kogo spotkała zaraz po przeprowadzce do Warszawy i że nie zna jego nazwiska. Ale kiedy później to przemyślałam, doszłam do wniosku, że kłamała, bo widziałam zdjęcie z jej pierwszego mieszkania w Wołominie. Była na nim w mocno opiętym podkoszulku, w zaawansowanej ciąży. Później, jak się okazało, bliźniaczej.

- Musiała mieć nielekkko.

- Skąd takie przypuszczenie?

- Bo sam znam to doskonale z autopsji. Tak to bywa, gdy uniesienie mija, zderzenie z rzeczywistością jest wyjątkowo trudne i czuje się jeszcze większe przygnębienie.

- Dobre sobie - parsknęłam. - To ja miałam trudne dzieciństwo.

- Naprawdę? - spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

- Wylądowałam w poprawczaku.

- Dlaczego? Piłaś zakazane wino w świetle księżycy?

- Zdefiniuj światło księżycy - zaśmiałam się. - Nie, ale zrobiłam coś złego, bardzo złego.

- To znaczy?

- Mój ojciec był draniem.

- Był?

- Chciałam go zabić, ale tylko okaleczyłam - z jakiegoś powodu te słowa wcale nie przyniosły mi ulgi. - Sekatorem. - dla wzmocnienia przekazu uniosłam w górę rękę wyprostowując palce wskazujący i serdeczny, które ułożyły się w literę V.

- Co ma do tego Solidarność? - szczerze się zdziwił.

Dopiero w tym momencie poruszyłam palcami naśladując ruch nożyczek.

- Dlaczego?

- To sprawa osobista.

Przez moment skupiłam się wyłącznie na poprawianiu kosmyka włosów, który opadł mi na okulary, bo nie umiałabym inaczej ukryć emocji wywołanych wspomnieniami mojego dawnego życia.

- Nie jest tak źle - mówię w końcu. - Zdążyłam nabrać do tego dystansu.

- Przepraszam, nie chciałem.

Zerknęłam na niego ukradkiem w nadziei, że się domyśli, o co chodzi. Jednak on uparcie unikał mojego wzroku.

- Dobierał się do mnie - wydusiłam to wreszcie z siebie. - Musiałam coś z tym zrobić.

- Co u niego?

- Wciąż żyje, więc mam przerąbane.

- Co zrobiła twoja mama?

- To, co zrobiłaby w podobnej sytuacji większość mam, tylko pogorszyła sprawę.

Obdarzył mnie pełnym zdziwienia spojrzeniem. Słuchał z uwagą, jakby ten temat faktycznie go zainteresował.

- Tak po prostu?

- To nie było dla mnie zwykłe „po prostu”. Łzy bezsilnej wściekłości przesłoniły mi na moment świat. Przeszłam coś na kształt depresji, przed i po ścięciu włosów.

- Z powodu fryzury?

- Nic nie rozumiesz. Każdy kosmyk żył własnym życiem. Lubiłam swoje długie włosy. Były moją zasłoną przed światem. Mogłam widzieć przez nie tyle, ile chciałam widzieć i pokazywać tylko tyle, ile chciałam pokazać. Chroniły mnie przed wszystkim, co złe. Przynajmniej tak mi się zdawało w momencie, w którym dowiedziałam się, że muszą je zgolić. Ale nie było wyjścia. Nie było pola do negocjacji. To był bolesny cios w poczucie własnej wartości. Widziałam dzieci, które się tam wychowywały i wiesz co? Wszystkie były wypaczone i miały urazy psychiczne. Wszystkie, co do jednego. Nie masz pojęcia, co tam odwalają, żeby zdobyć tytuł.

- Tytuł?

- Tak, tytuł debiła roku. Zgasłam, zamknęłam się w innym, obcym ja. Pragnęłam z kimś porozmawiać, komuś się wyzalić, lecz nagle uświadomiłam sobie, że nie mam nikogo takiego. Nie utrzymywałam z nikim relacji, które pozwoliłyby mi do kogoś zadzwonić i wyznać z płaczem, co czuję, a wstydziłam się mówić o tym swojemu bratu przyrodniemu. Dawniej zwierzyłam się mu pewnie, lecz zrozumiałam, jak bardzo go zaniedbywałam od kiedy wyjechał na studia, więc teraz byłoby głupio zwracać się do niego o pomoc. Poza tym bałam się że mi nie uwierzy, zawsze miałam trochę wybujałą wyobraźnię. Kiedy skończyłam szesnaście lat stałam się kimś innym.

- Bo dowiedziałeś się czym jest kac?

- Nie. Bo wtedy poznałam Goškę.

Sprawiał wrażenie człowieka, któremu chętnie powierzyłabym swój los. Nagle zapragnęłam być matką jego dzieci. To uczucie było bardzo silne. Nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Myślałam o tym, co mówił oraz czego nie powiedział. W tej ciszy wymieniliśmy więcej wiadomości, niż za pomocą słów.

- Podać coś jeszcze? Niedługo zamykamy - barman przypomniał nam o swojej obecności.

- Przecież wcale jeszcze nie jest tak późno - zaprotestowałam maskując uśmiechem gorzkie rozczarowanie. - Chyba, że prowadzisz podwójne życie. W nocy wcielasz się w kogoś zupełnie innego. Czekał, czekał, widziałam już ciebie na jakimś liście gończym albo portrecie pamięciowym - zażartowałam. - Byłeś, jesteś czy może zamierzasz być seryjnym mordercą? Miej się na baczności przed stróżem prawa.

- Człowiek nie powinien się ograniczać, ale nie. Nie wyczerpuje to chyba znamion czynu zabronionego?

Romek nachylił się wprost do mojego ucha.

- Ma kartotekę długą jak mój ptak - wyszeptał.

- Czyli nienotowany? - zachichotałam.

- Uważaj - dla wzmocnienia przekazu pogroził mi palcem, po czym westchnął, wymieniając porozumiewawcze spojrzenie z barmanem.

Zadzwieczał jego telefon. Poderwaliśmy się niemal jednocześnie. Spojrzał na wyświetlacz i w tej samej chwili spochmurniał. Wyglądało to dość dziwnie, bo nie mówił nic. Najpierw odniosłam tylko takie wrażenie, bo niczego nie słyszałam, to przez głośną muzykę, ale potem zauważyłam, że w ogóle nie poruszał ustami. Kiedy gasnący ekran telefonu przestał blado oświetlać jego policzki, podszedł do mnie i niemal z grobową miną oznajmił, że musi się zbierać. Westchnął jakby to była ostatnia rzecz jaką chciał zrobić.

- Czy coś zyskam jeśli ci powiem, że było mi bardzo miło?

Wiedziałam, jak wiele zależy od mojej odpowiedzi.

- Nie, ale możesz spróbować - zrobiłam krótką pauzę nie chcąc stawiać czoła rzeczywistości. -
Coś się stało? - wyrwało mi się nie tylko przez dziennikarską ciekawość, ale przede wszystkim troskę.

- Nie powiem, bo pomyślisz że nie jestem fajny.

- I tak nie uważałam cię za fajnego.

- Ktoś stoi w oknie ostatniego piętra zupełnie, jakby miał zamiar z niego wyskoczyć - w tonie jego głosu było coś, co przeraziło mnie nie na żarty. Kierowana odruchem, odsunęłam się od niego.

- Gdzie?

- Tu, niedaleko. Na rogu Złotej i Myśliwieckiej - powiedział przeciągając dłoń przez włosy.

- O mój boże, to przecież biurowiec Leszczyńskiego!

Rozdział 3. Krzysztof

- O mój boże, to przecież biurowiec Leszczyńskiego! - jej słowa wypowiedziane szybko eksplodują w ciszy. - Jak mogłam zapomnieć? Twoje ego rozpycha się tutaj tak, że nie ma już miejsca dla nikogo więcej - krzyknęła oskarżycielskim tonem.

Zobaczyłem urazę na jej twarzy, mimo to dodałem:

- Uważasz, że jej śmierć to tylko i wyłącznie moja wina? - zdałem sobie sprawę, jak ponuro to zabrzmiało.

- Już dawno temu wymierzyłam sobie karę. Przez wiele dni ledwo mogłam wstać z łóżka, jednak musiałam stawić czoło światu, musiałam chodzić do pracy, patrzeć na jej pusty pokój, oglądać smutek i żal na twarzach bliskich, nie okazując przy tym swojego - usłyszałem to z bolesną powolnością. - Zastanawiałam się, co ci powiem, kiedy przyjadę, bo przecież wiem, że zrobiłeś mi to na złość, że chciałeś mnie zdenerwować, nastraszyć, zakłócić mi życie. Zwrócić moją uwagę, zaciągnąć mnie tam, gdzie według ciebie powinnam być. No i proszę, udało ci się. Przyjechałam, chociaż nigdy więcej nie chciałam się z tobą spotykać. Nawet w najgorszych snach sobie nie wyobrażałam, że tak to będzie wyglądało. Na domiar złego muszę zająć się na nowo wspomnieniami i posprzątać cały ten nieszczęsny bałagan - zakończyła absurdalnie lekko, a spodziewałem się tony wściekłych epitetów.

Głos rozsądku w mieście ignorantów. Mi to jednak wystarczyło. Wróciłem myślami do tamtego feralnego dnia, kiedy postanowiłem odejść. Chociaż nie, to złe słowo. Ja ją po prostu zostawiłem, bez wyjaśnienia. Przestraszyłem się ciąży i odpowiedzialności za nią. Byłem prymusem, ale i lekkoduchem, rozpieczonym do granic możliwości przez obrzydliwie bogatych rodziców. Skąd mogłem wiedzieć, że niedługo potem odkryję metodę, która miała zrewolucjonizować medycynę? Niemniej jednak w nawet najmniejszym stopniu mnie to nie usprawiedliwiało. Być może gdybym został to uratowałbym życie własnemu dziecku? Teraz, kiedy na to wszystko patrzę z perspektywy czasu, jestem o tym święcie przekonany i to mnie dobija.

W ostatnim liście, tym sprzed kilku lat, życzyła mi wszystkiego najgorszego, napisała, że nigdy mi nie wybaczy. Ale czy to, co zrobiłem, było aż takie straszne? Gdybym rzeczywiście był potworem, zimnym, okrutnym i pozbawionym uczuć, zwodziłbym ją dalej, dla pozorów.

Wtedy, tamtego dnia, na dnie skrzynki na listy była koperta z moim imieniem i nazwiskiem. W środku znalazłam napisany drżącą ręką list na liniowanym papierze.

„Nie chcę, żeby tragedia naszej córki stała się częścią Twojego makabrycznego projektu. Nie tylko dlatego, że zamierzasz na niej zarobić, co napętnia mnie odrazą. Powtarzałam ci wielokrotnie: to, co robisz, jest wysoce nieodpowiedzialne, a śmierć Justysi stanowi tego najlepszy dowód. Gdybyś miał w sobie choć odrobinę współczucia, przestałbyś, przyznając, że to, co piszesz, publikujesz i badasz, ma swoje konsekwencje. Nie spodziewam się, że mnie posłuchasz, ponieważ nigdy nie słuchałeś. Ale jeśli będziesz dalej szedł tą drogą, na pewno ktoś cię do tego zmusi.”

Miałem przyspieszony oddech i zrobiło mi się gorąco. Musiałem zapalić. To dziwne uczucie, kiedy od ponad trzech lat nie czuło się papierosa w ustach i nagle zdajesz sobie sprawę, że dokładnie tego ci brakuje. „W razie potrzeby zbij szybkę” - tak brzmiał napis na gadżecie, jaki otrzymałem dokładnie w pierwszą miesięcznicę rzucenia palenia. Bez chwili wahania złapałem co miałem pod ręką i rozległ się brzęk tłuczonego szkła. W tym samym momencie w drzwiach pojawił się Adam.

- Szefie, wszystko w porządku? - omiótł wzrokiem pomieszczenie, ale nie przestąpił progu.

- Zrób coś z tym - potarłem jedyną zapałką i przystawiłem do ust papierosa. Ścisnąłem go tak mocno, że mi zbiełały kłykcie.

- To wbrew procedurom bezpieczeństwa - zauważył bez pewności w głosie.

- Do jasnej cholery. Wiem, co jest w procedurach bezpieczeństwa, sam je przecież ustanawiam. Zakaz palenia to zakaz palenia, ale to wyjątkowa sytuacja.

Czyżby znów budziła się we mnie dawna hardość? Bardzo się cieszę. Prawdę mówiąc, ostatnio już się trochę nudziłem.

- Rozumiem - poinformował krótko i udał się do centrali wyłączyć alarm przeciwpożarowy.

Wszędobylskie czujniki dymu w mig by wychwyciły tłącego się papierosa. W samą porę. Zaciągnąłem się i wypuściłem srebrno-błękitny obłok.

- Widzę, że nawet ty dostrzegasz czasem uroki niebytu - od czułości z jaką wypowiedziała to słowo, zrobiło mi się ciepło na sercu. - Tracę tylko swój czas - wstała i skierowała się do wyjścia.

- Czekaj - zaproponowałem, krztusząc się jednocześnie. Zdecydowanie zdążyłem odwyknąć od palenia. - Chciałbym ci jakoś pomóc.

- Co takiego? Swoje pieniądze możesz sobie wsadzić w...

Czarująca, zabawna i inteligentna. Zawsze wie, co powiedzieć.

- Nie to miałem na myśli - dokładniej rzecz ujmując właśnie o tym pomyślałem, ale jeśli tak postawiła sprawę to nie mogłem się przyznać. - Nie chcesz ryby? W porządku. Mam więc dla ciebie wędkę. Przypuszczam, że zależy ci na pracy.

- Nie rozumiem.

- Proponuję ci wywiad ze mną.

- Przecież ich nie udzielasz.

- Dla ciebie zrobię wyjątek. Twoja redakcja cię ozłoci. Co ty na to?

- Nie jestem zainteresowana - powiedziała tak stanowczym tonem, na jaki umiała się zdobyć.


- Posłuchaj. Jutro z samego rana na twoim biurku znajdziesz moje odpowiedzi, pytania będziesz mogła sama sobie dopisać. Z góry go autoryzuję. Ufam ci. A teraz wybac, musisz już wracać. Adam cię odprowadzi.

Była delikatna, lecz silna, a jej skromność i pospolitość, której się nie wstydziła, wzbudzały we mnie więcej uczuć niż najpiękniejsza twarz. Jej twarz. Wzruszała mnie i teraz, i poczułem, że mimo upływu czasu żywiej krąży mi krew.

Nie chciałem już dłużej z nią tutaj być, wśród tych wszystkich rzeczy wokół, które przypominały mi o rodzinie. Wyszli. Wstałem również i nagle biurowiec się zachwiał, zakotywał jak łódka na pełnym morzu podczas nadciągającego sztormu. Czułem, jakby coś napierało na gmach, jak próbuje go obrócić, jak szparami w oknach wciska się woda, chociaż wcale nie padało. Oparłem się o blat biurka i wyszedłem na korytarz. W uszach dudniła mi cisza. Przystanąłem, żeby oczy przywykły do jaśniejszego światła i przez sekundę widziałem kogoś na parapecie, tam, w miejscu,

gdzie jeszcze przed chwilą stał okazały rododendron. Byłem pewien, że ktoś tam jest, ale tylko przez moment, bo postać zaraz zniknęła, mimo to moje serce waliło jak młotem. Ktoś tam był, teraz albo przed chwilą. Był albo zamierzał przyjść.

Nie panując nad szybkim, płytkim oddechem, pobiegłem w stronę drzwi do swojego gabinetu, ale po autoryzacji nie ustąpiły, w dalszym ciągu pozostawały zamknięte. Poczułem nerwowy ucisk w brzuchu. W powietrzu unosił się dziwny zapach, inny niż zwykle, słodki jak perfumy, a okno przy windzie w dalszym ciągu było szeroko otwarte. Nie pamiętałem, żeby kiedykolwiek było otwierane. Nie pozwalały na to procedury bezpieczeństwa.



Najjaśniejsze gwiazdy na niebie to Altair i
Wega. Kiedyś byli kochankami, ale rozdzieliła
ich niebiańska rzeka drogi mlecznej. Raz w
roku siódmego dnia, siódmego miesiąca Wega
płacze tak bardzo, że wszystkie sroki tego
świata wzlatują do nieba, a ze skrzydeł tworzą
most, po którym kochankowie wychodzą sobie
na spotkanie. Na tę jedną, jedyną noc.